

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LISTOPAD 2024 | NR II (83)

STUDIUM

**Jaka przyszłość
czeka Bałtyk?**

ROZMOWA

**Sztuka dobrego
życia według
Kierana Setiyi**

REPORTAŻ

**Kto głosuje
na Trumpa**

**Z kim i gdzie
zamieszkaś
na starość?**

CENA: 19,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



9 772544 502401

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LISTOPAD 2024 | NR II (83)



[Kup książkę](#)



MAGDALENA KICIŃSKA
(ur. 1987), redaktorka,
reporterka i laureatka
Grand Press 2017
w kategorii „wywiad”.
Autorka książek: *Pani
Stefa* (2015), *Środki
transportu* (2019),
współautorka
(z M. Dziedzicem)
Teraz '43. Losy (2018),
współautorka
(z A. Jucewicz) *Dom
w butelce. Rozmowy
z Dorosłymi Dziećmi
Alkoholików* (2021).

Zmiana

To będzie opowieść o trudnym do zniesienia uczuciu. Takim, które zanim zostanie nazwane, rodzi się w człowieku niepostrzeżenie, a potem rozgaszcza, zagarnia coraz więcej miejsca. Aż któregoś dnia budzi przed świtem i świeci jak neon: „Potrzebujesz żyć inaczej”.

Na początku trudno przyjąć te słowa ze zrozumieniem (czy raczej: wyrozumiałością dla samej siebie). Więc przymyka się na nie oko, omija, wstaje i jak gdyby nigdy nic idzie w następny dzień. Mijają kolejne dni, mija tydzień, wiosna, ale napis wciąż tam jest, świeci coraz wyraźniej. Trzeba odwagi, żeby naprawdę go dostrzec. Powiedzieć na głos: „Mogę”.

Pamiętacie może *Przypadek* Kiesłowskiego? To mój ulubiony film. Bohater przez całe życie (a nawet kilka jego wersji) goni za... lepszą wersją siebie? Albo wersją wystarczająco dobrą, przy czym trudno mu znaleźć punkt odniesienia, z kim lub czym się ściga. Mam podobnie, uczę się uznawania własnych potrzeb za istotne, chociaż wszystkie „muszę” i „powinnam” uparcie to utrudniają.

Kiedy pod koniec 2018 roku zostałam naczelną, nie wyobrażałam sobie, jak długa, ważna i zmieniająca życie będzie to przygoda. Zaszczycem była dla mnie praca z ludźmi, którzy współtworzą „Pismo”, oraz z Wami, którzy nas czytacie, słuchacie, wspieracie. Jestem ogromnie wdzięczna za to doświadczenie. Pełne sukcesów i porażek, małych i większych, łez, śmiechu, strat i zwycięstw. Poczułam jednak, że czas, by przekazać tę rolę komuś, kto tchnie w nią nową energię i pomysły. Siłę, która poniesie dalej to, co razem robimy. Stoję przed moim neonem i boję się, ale robię ten krok. Zostaję w stopce redakcyjnej, choć trochę z boku. Robię „Pismu” – i Tobie, Ulu – miejsce dla nowej przygody.



URSZULA KIFER
(ur. 1981),
redaktorka naczelna
„Pisma. Magazynu
Opinii” i członkini
zarządu Fundacji
Pismo. Pracowała
jako dziennikarka
i redaktorka m.in.
w Wirtualnej Polsce,
Gazeta.pl, „Newsweeku”
i „Rzeczpospolitej”.
Przez ostatnich pięć
lat współtworzyła
Fundację Reporterów,
jako sekretarzynie
redakcji i szefowa
działu fact-checkingu.

A JA ZAJMUJĘ JE, siadając przy świeżo sprzątniętym biurku. Jego prawie pusty blat symbolizuje nowy początek – czeka na zapełnienie notatkami, próbnymi wydrukami i kolejnymi numerami „Pisma”. Na razie leżą na nim dwie rzeczy, które wpadły mi w ręce podczas robienia porządków.

Pierwszy z nich to egzemplarz „New Yorkera” z 23 listopada 2009 roku. Kupiłam go w kiosku, a jakże, na Manhattanie. Odkrycie tego tygodnika było dla mnie niczym objawienie. Długie, pogłębione teksty; autorzy, którzy zachwycają stylem i mądrością; dbałość o formę. Znalazłam w nim to wszystko, czego bezskutecznie szukałam od dłuższego czasu w polskiej prasie. Wypełnił do pewnego stopnia tę pustkę. Ale zachwyt mieszał się u mnie ze smutkiem – dlaczego u nas czegoś takiego nie ma?

Obok kładę pierwszy numer „Pisma”, ze stycznia 2018 roku. Czekałam na niego z ekscytacją, ale też pełna obaw. Numer po numerze przekonywałam się jednak, że i w naszym kraju można wydawać wartościowy drukowany magazyn – który na dodatek miałam od dłuższego czasu przyjemność współtworzyć jako redaktorka. W kolejnych latach przybywało ambitnych projektów medialnych, stawiających na jakość, nie zasięgi, takich jak Fundacja Reporterów, w której spędziłam ostatnich pięć lat.

Dziś, jako nowa redaktorka naczelna, jestem wdzięczna za zaufanie, jakim obdarzyli mnie Piotr i Magda – moi poprzednicy na tym stanowisku, ale przede wszystkim osoby, które stoją za sukcesem „Pisma” i będą mnie wspierać w codziennej pracy. Zadbam o to, aby nasz miesięcznik nie stracił na jakości, ale jednocześnie był otwarty na nowe, pozytywne zjawiska – od pełnego wykorzystania potencjału wersji cyfrowej po czerpanie z doświadczenia najlepszych międzynarodowych tytułów i organizacji dziennikarskich, z którymi miałam zaszczyt współpracować. Jednak najważniejsze będzie dla mnie zasłużenie na zaufanie Państwa, naszych Czytelniczek i Czytelników, którzy tak jak ja od prawie siedmiu lat odnajdują w „Piśmie” to, czego im brakowało.

Pismo.

LISTOPAD 2024

PROZA

Sny zwierząt | 6
LENA SZUSTER

Ministerstwo czasu | 92
KALIANE BRADLEY

POEZJA

Kamień strachu | 3
JULIA CIMAFIEJEW

Witaminy | II
SARA SZAMOT

Przed operacją | 68
KRYSTYNA DĄBROWSKA

OBRAZ

Kuba | 4
W KADRZE AMADEUSZ ŚWIERK

Pieskie życie | 48
FOTOREPORTAŻ MAREK M. BEREZOWSKI

Słoiki | 90
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA O KAROLINIE JABŁOŃSKIEJ

ŻARTY RYSUNKOWE
JAREK KOZŁOWSKI

OKŁADKA ... --- ...
MARCIN WOŁSKI

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Spinoza i pryszcze krokodyla**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | **À propos Bałtyku**
ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

79 | **Co w niej trzyma...**
JON HOPKINS, pyta MATEUSZ ROESLER

STUDIUM

12 | **Najsłodsze**
MAGDALENA KICIŃSKA I KAROLINA SULEJ obserwują zmieniający się Bałtyk

ROZMOWA

30 | **Jak żyć dobrze**
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA rozmawia z filozofem KIERANEM SETIYĄ

REPORTAŻ

38 | **Razem czy osobno? O mieszkalnictwie seniorów**
ALEKSANDRA WARECKA sprawdza, czy można mieszkać wygodnie na stare lata

60 | **Jaka przyszłość czeka cywilizację amerykańską?**
GEORGE PACKER pisze o teoriach spiskowych i hiperpolaryzacji

WOKÓŁ KSIĄŻEK

80 | **Tam, gdzie kończy się trauma**
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK pyta o naszą traumę historyczną

Pismo.

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie zarządu:
Urszula Kifer, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn Opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa
Redaktorka naczelna: Urszula Kifer **Redaktorki prowadzące:** Katarzyna Kazimierowska (sekreterzowanie redakcji)
Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk **Weryfikacja faktów:** Marcin Czajkowski **Felieton:** Karolina Lewestam
Redakcja: Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Zofia Sawicka, Ilona Turowska **Korekta:** Ewa Bargiel, Monika Marczyk,
Dorota Śrutowska **Wydanie cyfrowe:** Ewa Pluta, Iga Gromska **Wydanie audio i audioseriale:** Barbara Sowa
Projekt makiety: Jacek Utko **Redakcja artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz
Szef marketingu i sprzedaży: Paweł Cybulski **Marketing:** Mateusz Roesler **E-commerce:** Anna Ostrowska
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec **Fundraising:** Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979),
dziennikarka i redaktorka. Obroniła
doktorat z filozofii na Uniwersytecie
Bostońskim. Wielokrotnie
nominowana do nagrody Grand Press.
Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.

Od Twoich felietonów zaczynam każdy kolejny numer „Pisma”. Dlatego w końcu postanowiłam sama do Ciebie napisać.

Mam prawie dwadzieścia lat. Wyjeżdżam na studia do innego miasta, piję alkohol, zrobiłam prawo jazdy, rosną mi piersi (a może już nawet przestały), a ja dalej czuję się jak słabe i przestraszone dziecko. (...) Czy jest jakaś sztuczka, coś, co mogę zrobić tu i teraz, żeby stać się bardziej dorosła?

Moja mama zawsze mi powtarza, że mam być silną i samowystarczalną kobietą. A ja nie umiem nie przyzwyczajając się do innych ludzi. Nie czuję się przytulnie sama ze sobą. Ciągłe musi być ktoś, kogo się poradzę, kto mnie przytuli i sprawi, że poczuję się ważna i właściwa, z kim podzielić się zły mi albo dobrymi myślami.

Zauważyłam, że kiedy nie ma przy mnie nikogo, marnieję i rozklejam się jak dziecko. Próbuję jakoś wtedy przeczekać ten stan, rozpaczliwie zagłuszyć go Netflixem, rozchodzić w parku albo rozpisnąć się w mailu z nadzieją, że ktoś go przeczyta – wszystko, żeby tylko nie było tej niepokojącej ciszy, żeby nie myśleć, że jestem naprawdę sama.

I jak tu być silną i niezależną feministką?

Serdecznie pozdrawiam,
Iza

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyk@magazynpismo.pl

Spinoza i pryszcze krokodyla

Droga Izo!

Nie wiem, czy słyszałaś o niejakim Baruchu Spinozie, który parał się szlifierstwem i filozofią? Poglądy owego Spinozy na naturę świata zawsze wydawały mi się pociągające: otóż według Spinozy tylko Bóg może naprawdę istnieć, a więc wszystko, co jest, jest Bogiem. No dobrze, zapytasz; a co w takim razie z rzeczami, które w sposób oczywisty Bogiem nie są? Otóż – odpowiedziałby Spinoza, chichocząc – wygląd tych wszystkich rzeczy to taki trik, bo – hi, hi! – w istocie wszystko to właśnie JEST Bogiem! Bóg bowiem ma różne atrybuty i różnie się przejawia, jako duch i jako materia, a my z tego Boga wyrastamy jak brodawki z krokodyla i wydaje nam się, że jesteśmy sobą, a jesteśmy tylko niezorientowaną w sytuacji narosłą na tym Bogu. Ty wyrastasz z Boga, ja sobie z niego wyrastam, a wszystkim nam się wydaje, że jesteśmy osobni i rozmawiamy sobie, ba, listy do siebie piszemy! Jak byśmy wszyscy nie byli grzybami tej samej boskiej grzybni, falami tego samego boskiego morza, jabłkami na tej samej boskiej jabłoni.

Dzisiaj nie ma już Barucha Spinozy, ale jego wizja – my jako pryszcze na wielkiej jedni – ciągle do mnie powraca, ostatnio najczęściej przy lekturze książek popularnonaukowych. Przypominam ją sobie, czytając Carla Sagana, który mówił: „Kosmos jest w nas. Jesteśmy zrobieni z gwiazd”. Myślę o niej, czytając książkę Neila Shubina *Nasza wewnętrzna menażeria*, gdzie autor opisuje odkrycie skamieliny tiktalika, ryby z nadgarstkami w płetwach, która stanowi ostateczne potwierdzenie tego, że wywodzimy się z morza i całość ewolucji *homo sapiens* zawdzięczamy temu, że tiktalikowi chciało się wyczołgać na brzeg, żeby się tam rozejrzeć i to czy owo schrupać. Jesteśmy wciąż w środku rybą – twierdzi Shubin i daje na to przekonujące dowody; jesteśmy też ziemniakiem i małpą, co według mnie świadczy po prostu o tym, że wszyscy stanowimy część tej samej biologicznej zupy-jedni, która morfuje i fluktuuje, pchana do przodu mechanizmem ewolucji.

Generalnie jednak Spinozjański duch jedności rzeczy dzisiaj raczej zanika; świat z jednego oceanu Boga staje się rozdrobnionym piaskiem plaży. Każdy jest indywidualnością; nawet mama Izy każe jej być niezależną kobietą. Tyle w nas siły – mówią ludzie – ile w nas granic; o tyle jesteśmy, o ile jesteśmy samowystarczalni.

Ale to wszystko to podła manipulacja. Są jeszcze wciąż tacy, którzy to wiedzą. Na przykład co poniektórzy psychiatry – jak Bessel van der Kolk, autor innej książki popularnonaukowej *Strach ucieleśniony*. Kolk pisze, a ja czytam to sobie w metrze i od razu myślę, żeby Ci o tym napisać: „Kultura uczy nas skupiania się na osobowej wyjątkowości, ale na głębszym poziomie praktycznie nie istniejemy jako osobne organizmy – słyszysz, Izo? PRAKTYCZNIE NIE ISTNIEJEMY. – Nasze mózgi są zbudowane tak, byśmy funkcjonowali jako część plemienia. I jesteśmy częścią plemienia, nawet gdy jesteśmy zupełnie sami – czy to słuchając muzyki (którą stworzyli inni), oglądając mecz koszykówki w telewizji (mięśnie napinają się nam wraz ze skokami graczy) czy też przygotowując prezentację na spotkanie działu (wizualizujemy sobie możliwe reakcje naszego szefa). Przeważającą część naszej energii poświęcamy łączeniu się z innymi” (przeł. K.L.).

Następnym razem, kochana Izo, kiedy ktoś Ci powie, że masz być niezależna i osobna, przypomnij sobie Spinozę. Albo Sagana. Albo Shubina, albo Kolka. Oni wszyscy wiedzą, że tak naprawdę nie można się odciąć od grzybni – niezależnie od tego, czy ta grzybnia jest Bogiem, życiem czy plemieniem. A ci, którzy o tym nie pamiętają, będą skazani na niezrozumienie własnych reakcji, własnego trwania i kontekstu.

Możesz być feministką, kochana Izo – ale nigdy, przenigdy nie będziesz niezależna. A ja Ci życzę, żeby zawsze miał Cię kto przytulić.

Kup książkę

POEZJA

Kamień strachu

JULIA CIMAFIEJEWA

—

Strasznie mi.
Wreszcie jestem w domu.

Dostałam w spadku
sвій strach –
rodzinną relikwię,
drogi kamień,
przekazywany
z pokolenia na pokolenie.

Nasz okrągły rodowy głaz,
kiedyś skradziony
z pańskiego pola.

Kamień nie ma ust,
nie może nic krzyknąć
ani powiedzieć.
Jest bezmyślny,
zawsze w zarodku,
wszystko, co potrafi –
to powoli i nieustannie
rosnąć.

Karmimy kamień po kolei
przez długą pępowinę rodu:
prababcie i pradiadkowie,
dziadkowie i babcie,
matki z ojcami,
a oto i ja dorosłam –

teraz moja kolej.
Zasady opiekowania się są proste:

– najpierw nosisz
kamień na sercu,
on pije twoją krew i
ssie życiowe soki.
Kamień oduczy cię oddychania
pełną piersią;

– potem pozwól kamieniowi
wspiąć się wyżej,
zręcznie utknąć w gardle
i cedzić twoje słowa.
Kamień oduczy cię
mówienia tego, co chcesz;

– i oto strach się wydobywa,
owija kamienną pępowiną
wokół szyi, wiesz się na piersiach,
twoja wieczna przeciwwaga.

– Ach, jakie piękne! Ma to pani od babci?
– Tak.
– Niech pani tego dobrze pilnuje.
– Oczywiście.

maj 2020

przełożył Bohdan Zadura



[Kup książkę](#)



W KADRZE z cyklu *Jedni z nas*

Kuba

zdjęcie i tekst AMADEUSZ ŚWIERK

— Ambicją Kuby Stasiaka od zawsze było pisanie. Na swoją formę dialogu ze światem wybrał reportaż literacki. Pierwszego dnia wojny w Ukrainie przekroczył granicę, by jako korespondent relacjonować jej dramat.

Po kilku pierwszych, intensywnych miesiącach rosyjskiej inwazji zrozumiał, że dotarł do kresu swoich możliwości. Zbiegło się to z narastającym poczuciem, że pomoc drugiemu człowiekowi w obliczu tragedii jest ważniejsza niż tylko jej relacjonowanie. Zaangażował się w ewakuację cywilów i zwierząt z zagrożonych terenów przyfrontowych.

Robi to już od ponad dwóch lat. Jego praca nie kończy się na samej ewakuacji. Wspiera swoich podopiecznych długofalowo. Osobom, które zostawiły w kraju dorobek całego życia, organizuje nowe miejsca do mieszkania i pracy, a zwierzętom – opiekę weterynaryjną i nowych opiekunów.

Otoczenie Kuby nieoficjalnie szacuje liczbę uratowanych przez niego osób na około czterysta. Obecnie zbiera on środki na budowę schroniska dla zwierząt oraz pisze książkę o swoich wojennych doświadczeniach.

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na magazynpismo.pl/w-kadrze

Sny zwierząt

tekst LENA SZUSTER

—

Była głodna. Biegła pomiędzy pasmami nocy i deszczu, szybsza od wiatru, zawsze czujna. Kiedy usłyszała szelest skrzydeł, zastępnęła w pół kroku. Zmieniła się w szary kamień, kawałek kory, mokry liść, nic wartego uwagi. Zagrożenie nie mogło jej zobaczyć, poleciało więc dalej. Odczekała chwilę, a potem ruszyła tam, gdzie zaprowadził ją nos – do świeżo rozpulchnionej ziemi, pełnej kiełkujących nasion. Chwyciła jedno w łapki i przegryzła miękką skórę. Wnętrze smakowało trawą, gęstą zielenią, orzeźwiającym słońcem.

Eliza się obudziła. Uniosła dłonie, rozcapierzyła palce, zwykłe ludzkie palce, smukłe i kościste. Wydawały się za duże. Chyba wołała mieć pazury i mysi ogon. W swoim ciele czuła się dziwnie nie na miejscu. Bez względu na to, ile spała, wciąż była zmęczona. Poszła do łazienki, zdjęła piżamę, wypuściła powietrze z płuc i dopiero wtedy stanęła na wadze. Sto gramów więcej. „To pewnie przez makaron” – pomyślała. Głupia, brzydka, gruba, nie powinna jeść wczoraj tyle makaronu. Na wszelki wypadek zważyła się drugi raz, ale wynik pozostał bez zmian.

Przygotowała więc sobie mniejsze niż zwykle śniadanie – jogurt naturalny i jabłko, w sumie 175 kalorii. Zjadła je owinięta w szlafrok i koc, oparta o kuchenny parapet. Za oknem deszcz fastrygował świat. Według prognozy pogody później miało się zrobić

ciepło i słonecznie, ale Eliza nie potrafiła w to uwierzyć. Zawsze było jej zimno.

Założyła golf, marynarkę i luźne spodnie, żeby zamaskować te dodatkowe sto gramów. Niechętnie spojrzała w lustro. Wyglądała jak czarno-białe zdjęcie: ciemne ubrania, jasny warkocz, jeszcze jaśniejsza twarz. Nałożyła trochę różu na policzki, ale nie była pewna, czy to pomogło. Wykrzywiła się brzydko, zmarszczyła brwi, nos, otworzyła usta, krzyczała bezgłośnie, tak długo, aż rozbolało ją gardło. „Wystarczy” – pomyślała. Wygladziła twarz i uśmiechnęła się ładnie. Była gotowa.

W autobusie stała wciśnięta między rozgadanych licealistów, kobiety w tanich garsonkach i mężczyzn w wyświechtanych garniturach. Ten najbliższy jadł drożdżówkę z serem. Łapczywie odgryzał kolejne kęsy, przełykał szybko, coraz szybciej. Eliza nie mogła oderwać od niego wzroku. Dopiero kiedy zmiał pustą papierową torebkę, zorientowała się, że przeoczyła przystanek. Wysiadła na następnym i pobięła do pracy.

Do biura wpadła kwadrans po czasie. Gosia już była na miejscu, bezpieczna w forcie z wielkich monitorów, napuchniętych teczek, papierowych kwiatów, kulek folii aluminiowej, dawno zużytych długopisów i wszystkiego, co jeszcze mogło się przydać. Na widok Elizy wyciągnęła skądś paczkę trufli.

– Po jednej na dzień dobry? – zapytała.

Nie sposób było jej odmówić. Uśmiechała

się całą sobą, pełnymi ustami, małym nosem, wielkimi brązowymi oczami, w kącikach których codziennie zbierały się nowe zmarszczki. Włosy miała niesforne, ubrania kolorowe, buty w paski, liście poziomek i biedronki. Eliza nigdy by takich nie założyła.

Wzięła trufkę i usiadła przy swoim biurku. Stał na nim tylko komputer. Pozostałe rzeczy trzymała w szufladach. W pierwszej od góry: kalendarz, kołonoatnik, trzy niebieskie długopisy, zestaw kolorowych zakreślaczy, karteczki samoprzylepne, nożyczki, linijkę. W drugiej: słuchawki, zapasową ładowarkę do telefonu, katalogi, rozliczenia. W trzeciej: cukierki od Gosi. Układała je jak klocki w tetrisie – michałki, bajeczne, pierrot, krówki, iryksy, najgorzej było z kasztankami i malagą, zupełnie nie pasowały kształtem. Eliza czuła się, jakby grała w grę, w której od początku była skazana na porażkę. Dołożyła trufkę do chwiejnej konstrukcji i zamknęła szufladę.

Gosia w tym czasie zjadła trzy cukierki.

– Jutro już serio przechodzę na dietę – powiedziała, sięgając po czwarty.

– Jutro jest pożegnanie pani Bożenki.

– No, to w takim razie od soboty. Ale serio. Strasznie przytyłam.

– Wyglądasz świetnie – odparła Eliza.

Naprawdę tak uważała. Gosia była w sam raz, miękka, ciepła i przytulna. Zapewniając tabelki w Excelu, co jakiś czas wyciągała

z paczki kolejną trufkę, złorzeczyła na szefostwo, opowiadała o swoim kocie, synu albo mężu. Eliza w tym czasie piła wodę i wpisywała dane do formularzy. Na lunch miała pokrojoną w słupki marchewkę, ogórka, pięć rzodkiewek oraz opakowanie hummusu, w sumie 336 kalorii. Żeby je spalić, krążyła bez celu po korytarzach, kilka razy odwiedziła koleżanki w sekretariacie, wyrzała na zewnątrz. Robiło się ciepło i słonecznie.

Po szesnastej grzało już niemiłosiernie. Zdjęła marynarkę, podwinęła rękawy i założyła ciemne okulary. Zamiast na autobus, ruszyła do parku. Cały był w młodych liściach, furkocie i piórach. Pomiędzy drzewami latały czarno błyszczące kosy, nakrapiane drozdy oraz ciekawskie mazurki. Licealiści gromadzili się w stadach na ławkach, znużone kobiety prowadziły dzieci na plac zabaw, smutni mężczyźni popijali w krzakach piwo. Eliza zauważyła, że gałęzie były równo przycięte, a rabatki rozkopane. Przykucnęła i wyłuskała ze świeżo rozpulchnionej ziemi nasionko. Rozejrzała się i ugryzła je. Smakowało jak we śnie – trawą, gęstą zielenią, orzeźwiającym słońcem. Osłepiło ją. Zamrugała, próbując przegonić powidoki, zawroty głowy, zmęczenie.

Musiała wstać i iść dalej. Po drodze zahaçała o Carrefour. Najwięcej czasu spędziła w dziale ze słodyczami – oglądała każdy batonik, sprawdzała wartości odżywcze czekoladek, czytała składniki cukierków. Szukała czegoś specjalnego. W końcu wybrała nowy smak pralinek Lindor. Truskawka ze śmietanką.

W domu schowała je do kredensu, który kiedyś znalazła na targu staroci. Miała tam wszystkie ulubione rzeczy: trzy białe czekolady z wiórkami kokosowymi, dwie różowe z pistacjami, jedną mleczną z orzechami, chałwę waniliową, krem z ciasteczek korzennych, różne batoniki, cukierki na wagę, do tego paprykowe chipsy i serowe krakersy. Zamknęła kredens na klucz i poszła zjeść obiad.

Reszta makaronu z wczoraj, sos pomidorowy, szpinak i tofu, w sumie 471 kalorii. W ciągu całego dnia 982 kalorie. „Wystarczy” – pomyślała, odsuwając talerz. Pozmywała, posprzątała, trochę pocwiczyla i wzięła długie prysznic.

Planowała poczytać, ale zamiast tego leżała w łóżku i bez końca przeglądała przepisy na Instagramie. Zapisała sobie na później

kilka jednoporcjowych skyrników, fit ciasto marchewkowe, brownie z fasoli, zapiekanek ziemniaczaną, prostą marynatę do tempehu, wysokobiałkowe bułki oraz naleśniki proteinowe. Nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła.

Była głodna.

Skradała się przez cienie, prądkowana jak noc, giętka niczym promienie gwiazd. Bez trudu przechodziła między przesłami ogrodzeń, wskakiwała na murki, zaglądała do piwnic i śmietników. Znalazła trochę resztek, ale miała ochotę na coś większego, świeżego i bardzo ciepłego. Ukryła się więc w gęstych zaroślach i czekała, zupełnie nieruchoma, kamiennie cierpliwa, aż nad głowę zaśpiewał nowy dzień. Ptaki zleciały na ziemię i zaczęły buszować w starych liściach. Kiedy jeden znalazł się wystarczająco blisko, skoczyła i złapała czarno błyszczące życie. Krew zalała język, gardło, żołądek. Tyle krwi.

Eliza się obudziła. Otarła wargi i poszła do łazienki. Przy myciu zębów pluła czerwoną pianą. Szukała rany, rozcięcia na dziąśle, opuchlizny, ale nic nie znalazła. Na wszelki wypadek kilka razy przepłukała usta płynem antyseptycznym. Zdjęła piżamę, zrobiła długie wydechy i stanęła na wadze. Trzysta gramów mniej. Świetnie. Idealnie. Wspaniale.

W nagrodę zjadła porządne śniadanie – jogurt naturalny, jabłko, pół grahamki, garść orzechów laskowych, w sumie 349 kalorii. Delektowała się każdą z nich, powoli piła herbatę, a w tym czasie niebo za oknem zakwitało lilakami. Ubrała się pod kolor, w ciemne fiolety, różę i granaty. Przed wyjściem spojrzała jeszcze w lustro. Przywołała na twarz uśmiech – najpierw krzywy, potem złośliwy, wreszcie łagodny. Była gotowa.

Tym razem dotarła do pracy na czas. Wzięła od Gosi michałka, starannie ułożyła go w szufladzie i zabrała się za wypełnianie tabelki. Szło jej wyjątkowo dobrze. O dwunastej mogła bez wyrzutów sumienia zrobić przerwę i zejść z Gosią do salki konferencyjnej na pożegnanie pani Bożenki.

Zaczął się od przemów prezesa, jego zastępcy oraz starej kadrowej. Gadali w nieskończoność. Eliza, zamiast słuchać, próbowała zdecydować, które ciasto wybrać – sernik, szarlotkę, wuzetkę, napoleonkę czy pleśniak? Najmniej kalorii miała chyba szarlotka, Eliza jednak zawsze wołała sernik. Dzisiaj ważyła mniej, mogła więc sobie na

niego pozwolić. Tylko pół kawałka. Jakies 150 albo 200 kalorii. Dla bezpieczeństwa lepiej policzyć 300. Dużo, ale obłeci.

– No, w końcu. – Gosia zaczęła klaskać. – Dosyć tych cikliwych wspominek. Chodźmy jeść. Mam ochotę na wuzetkę.

Nałożyły ciasto na papierowe talerzyki, wzięły plastikowe widelce i podeszły do dziewczyn z działu marketingu. „Co tam u was, jak ten duży projekt, nie widać końca, kierownik narzeka, klienci upierdliwi” – rozmowy toczyły się wedle dobrze znanego scenariusza. Eliza raz na jakiś czas dorzucała coś od siebie, bardziej skupiona na serniku niż na koleżankach. Jadła powoli, ale i tak za szybko. „Wystarczy” – pomyślała w połowie kawałka.

– Chyba pójść po szarlotkę – powiedziała.

– Idź, idź, trochę tłuszczu ci nie zaszkodzi, jesteś taka chuda, że wiatr cię zaraz porwie – odparła jedna z koleżanek.

– Chciałabym mieć taką figurę – dodała druga.

– Jak ty to robisz, że jesz tyle ciasta i nie tyjesz? – zapytała trzecia.

– Mam dobrą przemianę materii. – Eliza wzruszyła ramionami.

Oczywiście nie poszła po szarlotkę. Zamiast tego rozsmarowała resztę sernika po papierowym talerzyku i do końca imprezy krążyła między kolegami z różnych działów. Czasami coś mówiła, głównie słuchała, patrzyła na ciasto znikające w ustach, okruszki na wargach, lukier na zębach. Kiedy ktoś proponował jej dokładkę, odpowiadała, że zjadła już trzy kawałki, na dowód pokazując usmarowany talerzyk. Trochę kręciło się jej w głowie, pewnie z niewyspania. Po powrocie do biurka wypila dwie szklanki wody i od razu poczuła się lepiej. Mogła uzupełnić jeszcze kilka tabelki.

O szesnastej życzyła Gosi miłego weekendu z kotem, synem i mężem. Była strasznie zmęczona, ale musiała pójść na zakupy. Zajął jej więcej czasu niż zwykle. Nie potrafiła zdecydować, który jogurt wybrać, jaki makaron włożyć do koszyka, wszystkiego było za dużo. W ostatniej chwili w drodze do kasy zgarnęła snickersa, draże kokosowe oraz węgalskie żelki.

W domu schowała je do kredensu. Na obiad zjadła sałatkę z kaszą bulgur i zieloną soczewicą, w sumie 396 kalorii. W ciągu

całego dnia 1045 kalorii. Pozmywała, posprzątała, trochę poćwiczyła i wzięła długi prysznic.

Potem z kubkiem zielonej herbaty zasiadła do najnowszego odcinka ulubionego serialu. Nie potrafiła się jednak skupić na poszukiwaniu mordercy. Co chwilę sprawdzała w telefonie nowe przepisy i rolki z testami zagranicznych słodczy. Starbar wyglądał naprawdę pysznie. Znalazła sklep internetowy, w którym mogła go zamówić. Do koszyka dorzuciła kilka innych batoników, trochę czekolad i pralinek, ale ostatecznie nie przeszła do płatności. Serial dawno się skończył, wyłączyła więc laptopa, położyła się i od razu zasnęła.

Była głodna.

Wielooka, wielonoga, połączona z nocą srebrnymi niciami. Czuła ich drgania, każdy powiew wiatru, kroplę deszczu, trzepoczące skrzydła na skraju sieci. Podeszła bliżej, spętała owada, przebiła szczękoczułkami twarde tułów i wypuściła jad. Kiedy tkanki wewnętrzne zmieniły się w półpłynną maź, zaczęła ssać. W środku mucha smakowała słodko, trochę kwaśno, bardzo ostro.

Eliza się obudziła. Zakaszała. Gardło miała podrapane i zaschnięte, ale nie mogła się jeszcze napić. Szybko poszła do łazienki, zdjęła piżamę, wypuściła powietrze z płuc i stanęła na wadze. Bez zmian. Czyli nie najgorzej. Ale też nie najlepiej.

Dlatego zjadła mniejsze śniadanie – jogurt naturalny i jabłko, w sumie 175 kalorii. Potem nie miała siły wstać od stołu, siedziała więc i patrzyła, jak za oknem chmury lecą na północ razem z ptakami. Cienie i światła przesuwają się po jej twarzy, sama nie wiedziała jak długo.

W końcu podniosła się i trochę posprzątała. Przymierzyła kilka spódnic, golfów, eleganckich koszul, kolorowych sukienek, jednak w każdym kolejnym zestawie wyglądała tylko gorzej. Ostatecznie wybrała zwykłe dżinsy, koszulkę i obszerną bluzę. Zmusiła się, żeby spojrzeć w lustro. Policzki miała mokre od łez. Otarła je, nałożyła róż i uśmiechnęła się promiennie. Była gotowa.

Poszła dłuższą drogą, przez park, przesuwając zielenią liście, świegotliwe powietrze, w cień starych kamienic. Zajrzała do dwóch lumpeksów i pamiętającego lepsze czasy obuwniczego. Na tej samej ulicy były

też zakład zegarmistrza oraz niewielka piekarnia. Kiedyś Eliza kupowała w niej bułki nadziewane szpinakiem. Teraz wzięła kawalek karpátky i rogaliki z powidłami.

Tak uzbrojona stanęła na progu poobijanej kamienicy. Miała swoje klucze, ale wolała użyć domofonu. Czekając, aż matka otworzy, błdziła wzrokiem po rzeźbionych skrzydłach bramy, ozdobnych ramiakach i ślemieniu. W witrażowym nadświetlu zamiast jednej z szyb błyszczała pajęczyna. W jej rogu Eliza dostrzegła czarne okruchy. Z trudem przełknęła ślinę – na języku wciąż czuła słodki posmak, kwaśną maź, ostre drobinki w gardle, bzyczenie much w brzuchu.



Nie, to bzyczał zamek w bramie. Eliza pchnęła ciężką furtę i zanurzyła się w chłodzie. Weszła na trzecie piętro, zapukała, znowu czekała, chyba całą wieczność, tylko chwilę. Kiedy drzwi się uchyliły, najpierw zalało ją światło, a potem schowała ciemność. Matka przysłoniła sobą świat.

– No w końcu – powiedziała.

Jej małe usta zmniejszyły się jeszcze bardziej, okrągłą twarz pokrywał pot, włosy gładko przylegały do głowy. Wzięła reklamówkę z piekarni i ciężkim, rozkołysanym krokiem poprowadziła Elizę do salonu. Jedną ścianę podpierały przeszklone szafki, pod drugą czekała wysiedziana kanapa, na środku lśnił stół. Przez otwarte okna wpały wiatr i ciepłe promienie słońca. Matka westchnęła.

– Ledwo kwiecień, a już tak grzeje – stwierdziła.

Wyjęła z fałdów sukienki plastikowy wachlarz i rozłożyła z trzaskiem. Zawsze było jej gorąco. Eliza naciągnęła rękawy bluzy na

zgrabiałe dłonie. Poszła po talerze, zaparzyła kawę, pokroiła ciasto, znalazła widelczyki oraz łyżeczkę. Matka w tym czasie podsmażyła na patelni pierogi ruskie z Biedronki. Kiedy wszystko miały już przygotowane, usiadły naprzeciw siebie. Pomiędzy nimi w politurowanym blacie odbijało się niebo.

Eliza wrzuciła na talerz cztery pierogi, w sumie 352 kalorie. Matka wzięła osiem i obficie polała śmietaną. Jadła szybko, mówiła dużo.

– Sosnowska wylądowała w szpitalu. Nerki jej padły przez cukrzycę. Potrzebuje przeszczepu, tylko nie wiadomo, czy się doczeka. Na razie co drugi dzień ma jeździć na dializy. Ciekawe, kto ją będzie woził. Jest w takim stanie, że sama nie da rady, a na męża i syna nie może przecież liczyć. W dupie ją mają. Po powrocie musiała prosić Koźlakową o zrobienie zakupów, bo w domu nawet chleba nie było.

Matka skończyła pierogi i nałożyła sobie dwa kawałki karpátky.

– Biedna ta Sosnowska – podjęła. – No, ale nie wszyscy mogą mieć w życiu tak dobrze jak Koźlakowa. Wyobraź sobie, że znowu leci na jakieś wywczas, tym razem do Turcji. Też bym poleciała, tylko że ja nie dostaję renty po mężu lekarzu. Całe życie pracowałam, tyrałam, robiłam na dwa etaty, a z emerytury ledwo starcza mi na leki. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Sięgnęła po rogalika z powidłami.

– Spokoju też nie ma. Pod ósemkę wprowadzili się nowi lokatorzy. Ich dziecko wrzeszczy od rana do nocy, naprawdę, non stop. Poszłam kilka razy zwrócić im uwagę, to się obrazili. Strasznie niemili ludzie. Ona zaniedbana, nieumalowana, z odrostami, widać, że sobie odpuściła po porodzie. On niestety nawet przystojny. Nie znoś przystojnych facetów, uważają, że wszystko im wolno. Ten tak samo. Patrzy na mnie z góry. Nosem kręci. Wymądrza się. Wciąż nie gdzieś lata. Pewnie romansuje na boku z jakąś młodszą i ładniejszą.

– Może po prostu ma dużo pracy – wtrąciła Eliza.

– Jasne – matka cmoknęła. – Twój ojciec też twierdził, że ma dużo pracy, a ja mu wierzyłam, nawet współczułam. Aż się wziął i zawiął na inny kontynent. Takim nie można ufać. Sama dobrze wiesz. Jak mi



Zapisz się na Aktualności i bądź na bieżąco z „Pismem”.

W każdy piątek wyślemy do Ciebie newsletter. Polecimy w nim jeden tekst – najciekawszy esej, reportaż, fragment książki – który warto przeczytać w weekend. Subskrybując Aktualności Pisma, nie przegapisz najważniejszych materiałów, które ukazały się w miesięczniku i tych, które publikujemy tylko online.

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/aktualnosci i zapisz się do newslettera.



tu po raz pierwszy przyprowadziłaś tego elegancika Bartka, to mówiłam, ostrzegałam, żebyś go sobie odpuściła. Za gładki był, za miły, źle mu z oczu patrzyło. No i oczywiście miałam rację. Może następnym razem posłuchasz starej matki. Po co ci faceci, same z nimi problemy.

„Wystarczy” – pomyślała Eliza. Zebrała naczynia i poszła pozmywać. Kiedy wróciła do salonu, matka siedziała na kanapie, energicznie machając wachlarzem.

– Boże, jak gorąco – sapnęła. – Muszę chyba wziąć leki na nadciśnienie. Podasz mi?

Eliza podała. Wycisnęła tabletki z blistrów. Nalała wody do szklanki. Wysłuchiła litanii narzekania i w końcu mogła wracać do domu. Szła przez park, ostrożnie

i powoli, jakby miała w środku potłuczone szkło. Wciąż kręciło się jej w głowie. „To nic takiego – powtarzała sobie. – Zaraz przejdzie. Jestem po prostu bardzo zmęczona”.

Na kolację zjadła serek wiejski z ogórkiem i trzema rzodkiewkami, w sumie 154 kalorie. W ciągu całego dnia 681 kalorii. Dała radę. Wytrzymała tydzień w pracy, pożegnanie pani Bożenki i nieskończenie długą wizytę u matki, zasłużyła na jakąś nagrodę. Może te nowe pralinki truskawkowe Lindora.

Wyjęła je z kredensu, otworzyła różowe opakowanie i położyła na języku białą kulę. Kremowa czekolada, delikatne nadzienie, kwaśny owocowy akcent – czuła każdy smak osobno, a potem jednocześnie w pełnej harmonii. Bez zastanowienia sięgnęła po drugą

pralinę, potem trzecią, czwartą i piątą. Kiedy się skończyły, otworzyła ulubioną czekoladę z wiórkami kokosowymi i płatkami kukurydzianymi. Paczkę paprykowych chipsów. Waniliową chałwę. Podwójnego snickersa. Z każdym kolejnym kęsem czuła się coraz gorzej, ale nie potrafiła przestać. Jadła więc dalej, aż zostały tylko puste opakowania, pogniecione sreberka, błyszczące konstelacje. Położyła się między nimi i zamknęła oczy.

Wciąż była głodna.

Leciała przez noc. Słyszała brzęczenie księżycy. Widziała każdy ruch, liście na wietrze, splątane korzenie, wilgotne żdźbła traw, pomiędzy nimi błysk. Zaatakowała bezszelbestnie. Wbiła szpony w małe życie. Przez chwilę trzepotało w panice, próbowało uciec, ale nie miało szans. Skręciła mu kark. Rozpruła brzuch i wyrwała serce.

Smakowało jak najlepsze słodycze.

Eliza chciała więcej, dużo więcej. Wepchnęła do gardła wszystko naraz, skórę, mięso i kości. Zgniotła na krwawą miazgę. Rozorała sobie podniebienie i dopiero wtedy, w nagłym przeblasku bólu, zrozumiała, co właściwie robi. Wypłuła na ziemię czerwoną breję. Zobaczyła odłamki zgniecionej czaszki, połamane kończyny, ostre pazury, szorstkie futro, zlepione w coś nowego, absolutnie nienaturalnego. Szarpnęła się do tyłu. Upadła.

Gałęzie przysłoniły niebo, gwiazdy zgasty, powietrze pociemniało. Wiedziała, że powinna wstać, uciekać, może nawet krzyczeć. Zamiast tego usiadła i spojrzała na wypłukę. Czuła ślinę napływającą do ust. Ssanie w żołądku. Zawahała się, ale tylko na moment, krótszy niż pół myśli, ćwierć oddechu. Wzięła garść krwawej miazgi i jadła. Jadła. Jadła.

Nie mogła się obudzić.



Więcej opowiadań przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/proza

Prozę w „Piśmie”
wspiera Miasto Gdynia,
sponsor Nagrody
Literackiej GDYNIA.

NAGRODA
LITERACKA
GDYNIA

Kup książkę

POEZJA

Witaminy

SARA SZAMOT

—

Obiecałam mu, że napiszę o witaminach
odporności
na przywiązanie, zakłócenia snu,
słuchu od chrapania drugiej osoby
dostrzeżenia
granic, czułych punktów, strachów
fatum przenoszonego z ojca na córkę,
na syna, na dziecko, na nasze dzieci
łagodności
dla naszych „czerwonych, ordynarnych
twarzy”, nieporozumień
słuchania
kolęd w domu, bez potrzeby świąt
pozostania
dzieciakami, które wstydliwie wkładają
sobie nawzajem ręce do majtek,
dotykają się nie zdejmując ubrań,
nieśmiało zaczynają stymulować punkciki
W dzieciństwie wierzyłam, że ślina pieska
ma lecznicze właściwości
nie jestem już dzieciakiem
nie chcę witamin
Chcę żebyś zlizął ze mnie ten syf

Wiersz pochodzi ze zbioru *Dymy – antologia tekstów slammerskich* pod redakcją
Dagmary Świerkowskiej-Kobus i Bartosza Wójcika.

SARA
SZAMOT

(ur. 1997), prosta poetka ze wsi. Studiowała w Instytucie Kultury Polskiej na UW. Polka, weganka, miłośniczka wspólnoty międzygatunkowej, ojca, ciała, wstrętu i przemocy. Autorka zbioru wierszy *Ścisk* (2021). Twórczyni innych poetyckich publikacji między innymi w Dwutygodniku, „Przekroju”, „Piśmie. Magazynie Opinii”. IG_@szamoty

[Kup książkę](#)

STUDIUM

Najśłodsze

tekst MAGDALENA KICIŃSKA, KAROLINA SULEJ

BAŁTYK NIE UMIERA, zmienia się.
Troska o niego zaczyna się daleko od plaż.

